

Od Wydawcy

Towarzystwo Przyjaciół Słońska „Unitis Viribus” w 2019 roku wydało książkę pt. „Dawno temu w Sonnenburgu” traktującą o przedwojennej historii Słońska i Warciańskich Błot. Publikacja spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem, a jednocześnie wielu czytelników wyraziło zainteresowanie ciągiem dalszym, czyli opowieścią o tym, co działo się w naszej miejscowości po przyłączeniu jej do Polski. Zainspirowało nas to do poszukiwań materiałów archiwalnych i do zajęcia się tym tematem. Skarbnicą wiedzy okazały się wspomnienia i zapiski Heleny Radowskiej i innych mieszkańców naszej miejscowości. Wspomnienia te są oczywiście subiektywnym spojrzeniem na historię, stąd mogą pojawiać się w nich błędy i braki. Staraliśmy się je eliminować, weryfikując zapiski i przekazy ustne, ale nie zawsze było to możliwe. Nieocenionym źródłem wiedzy o życiu w Słońsku w latach powojennych była kronika parafialna z lat 1945–1963, użyczona przez księdza proboszcza Józefa Drozda.

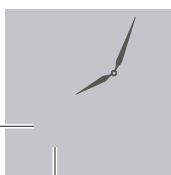
Nasza publikacja jest pierwszą książką ukazującą powojenne losy Słońska i jego mieszkańców. Jej kanwą jest życie Heleny Radowskiej, jednej z pierwszych osadniczek przesiedlonych z Kresów Wschodnich. Wiemy, że losy innych mieszkańców mogły być równie interesujące. Mamy zatem nadzieję,



że wszyscy, którzy pamiętają tamte lata lub mają ciekawe dokumenty, zechcą nam je udostępnić, co sprawi, że uzupełnimy brakujące dane. Warto przecież ocalić od zapomnienia losy nasze i naszych bliskich. Wszak „narody, które tracą pamięć – tracą życie”...

Na Państwa uwagi czekamy pod adresem:
tps.historia.slonska@gmail.com

Dziękujemy wszystkim darczyńcom i Gminie Słońsk, bez wsparcia których wydanie tej książki nie byłoby możliwe.



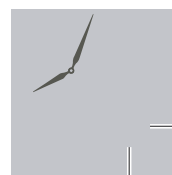
Wiesz, synku, myślę sobie czasem: To nie ja. To nie moje życie. To nie moje szczęścia i nieszczęścia. Tyle się wydarzyło, tyle rzeczy najzwyczajniejszych, a tyle tak niezwykłych... Czasem myślę, że to niemożliwe tak przeżyć. I dlatego mówię ci: To nie ja...

W noce nieprzespane próbowałam zapisać wiersze i piosenki śpiewane przez moją mamę, ciotki, kuzynów i znajomych – od serca, ponieważ nieraz mi się śnią... I tak to moje życie przeplatam.

■ A dlaczego dla ciebie taka ważna była poezja?

Poezja i rodzina, synku. Bo one obie – i Bóg – są najważniejsze w życiu. Pamiętam, jak moja mama pięknie recytowała wiersz:

*Gdy będziesz sam wśród obcych ludzi,
W zaszczytach tonąc i dostatkach.
Naraz się w Tobie krzyk budzi –
– gdzie mój dom – mój Ojciec, moja Matka.
I taki żal cię wówczas chwyci, zagubionego w ulic tłoku,
że zapatrzony w tamto życie ze łzami w oczach zwolnisz
kroku.
I cicho tak przez wzrok stroskany wypływać zaczniesz prze-
szłość droga,
i niski próg, i dach słomiany, i dym wznoszący się do Boga.*



*To takie proste – skrzyp kołycki i pochylona twarz matczyna,
a w oczach Ojca gniewu błyski i gwar rodzeństwa – to
rodzina...*

I ja się przekonałam w życiu, jak ważna jest rodzina.

■ **Babcia miała zabawne nazwisko, takie nietypowe...**

Mama moja, Janina Bogulak-Bogulska, urodziła się na Wołyniu 5 maja 1897 roku. Jej rodzice: Jan Bogulak-Bogulski i matka, Marianna z domu Tym, mieszkali nad rzeką Narwią. Mieli dwóch synów – Wacława i Michała, oraz cztery córki: Zofię, Benedyktę, Salomeę i Janinę, twoją babcię. Początkowo żyło im się nieźle; niestety pożar pochłonął dom i zabudowania gospodarskie. Po jakimś czasie Bogulak-Bogulscy wyjechali na Wschód, do Stepania na Wołyniu. Z pozostałych oszczędności kupili dom i ziemię. Jednak w Stepaniu żyło im się znacznie gorzej. Nie mieli już tego majątku, który zniszczył pożar.

Z nazwiskiem była taka zabawna historia. Ojciec twojego dziadka za cara pracował przy budowie mostów kolejowych na trasie z Kijowa do Moskwy. Rosjanie podczas pracy krzyčili do niego: „Bogulak – dawaj, dawaj” i tak w papierach napisano Bogulak. Po pierwszej wojnie światowej, mając dokumenty, wystarał się sądownie o powrót do nazwiska Bogulski – lecz sąd nie zlikwidował drugiego członu, ponieważ w rosyjskich papierach było Bogulak. Tak zostali Bogulak-Bogulskimi.

■ **A siostry babci?**

Najstarsza córka Zofia wyszła za mąż za Kołodyńskiego i mieszkali w Równem. Mieli dwóch synów i córkę. Starszy syn był

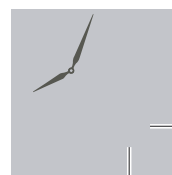


oficerem, a młodszy ożenił się i mieszkał w Łucku. Córkę wywieziono w czasie wojny na przymusowe roboty do Niemiec i tam poznała swojego przyszłego męża o nazwisku Świderski. Po wojnie Świderscy nie wrócili do Polski. Najpierw wyjechali do Anglii, potem zamieszkali w RPA. Wtedy urwał się z nimi kontakt. Nie mam adresów pozostałej rodziny.

Witold Kołodyński był świadkiem rzezi wołyńskiej. Mieszkał we wsi Parośle, 15 km od Włodzimierza, której mieszkańców wymordowali Ukraińcy. Ocalały tylko dwie osoby. Kuzyn



Babcia Janina (z lewej) i jej siostra Zofia



Witolda mieszka lub mieszkał we Wschowie. Tylko tyle udało mi się ustalić o rodzinie Kołodyńskich.

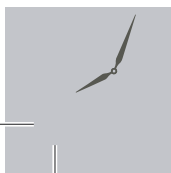


*Benedykta Kulik, siostra babci
Janiny*

Przyszłego męża, który jako polski niewolnik pracował na kolei. Po wojnie przyjechali do Polski, zamieszkali w Malborku i tam wzięli ślub. Danusia została panią Fluksik, jej mąż miał na imię Władysław. Mieli czwórkę dzieci. Mąż do emerytury pracował jako maszynista.

Ciocia Salomea, siostra mojej mamy, była przez jakiś czas utrapieniem dla rodziny, ponieważ jako panna miała syna, Wiktora. Zamieszkała w Legionowie i tam wyszła za mąż za Nowickiego. Nie mieli wspólnych dzieci, ale jej mąż był prawdziwym ojcem dla Wiktora. Ciocia Salomea była bardzo piękną kobietą, a zarazem osobą bardzo skromną, cichą i pracowitą. Bardzo mało mówiła o swojej przeszłości. Zmarła 20 października 1985 roku, mając 93 lata.

Ciocia Benedykta, siostra mojej mamy, wyszła za mąż za Józefa Kulika, mieli tylko jedną córkę, Danutę. Przed wojną we wsi Rafałówka mieli swój sklep z artykułami spożywczymi. W czasie wojny ciocia Benia i jej mąż zginęli podczas bombardowania. Pochowano ich na cmentarzu w Sarnach; w szafie, bo nie było trumien. Ich córka ocalała. W 1942 roku wywieziono ją na roboty przymusowe do Niemiec, pod francuską granicę. Tam pozna-

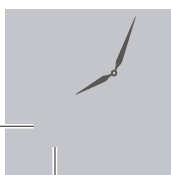


W lipcu 1945 roku tato powiadomił nas, że z Tyszowiec będzie jechał transport z polskim wojskiem na Zachód, na tak zwane Ziemie Odzyskane. Tato postanowił, że pojedziemy z nimi. Nie wiem, jak to się stało, ale razem z naszą rodziną pojechało jeszcze siedemnaście rodzin z Wołynia. Tu u mego taty zadziałała chyba żyłka kolejarska i jego talent organizacyjny. Była to znów podróż w nieznane.

■ Pierwszym przystankiem był Kostrzyn. Czemu tam nie zostaliście?

Wyjechaliśmy z Tyszowiec 12 lipca, do Kostrzyna dotarliśmy po dwóch dniach jazdy. Dworzec w Kostrzynie był bardzo duży i ładny, lecz miasto wyglądało strasznie. Widok nie do opisanía. Wielkie sterty gruzów, spod których jeńcy niemieccy wydobywali zwłoki swoich rodaków. Chowano ich we wspólnej mogile. Podróż przez zrujnowany kraj była dla nas okropnym przeżyciem. Łzy nam wszystkim cisnęły się do oczu... Jakoś ta wolność po tylu latach wojny nas, tak zwanych repatriantów, nie cieszyła. Wszystko było tu dla nas obce i straszne.

Do naszego wagonu z Wołyniakami przyszedł polski oficer w randze kapitana i powiedział, że w Kostrzynie lepiej nie zostawać, bo nie ma gdzie żyć i jest zbyt niebezpiecznie. Ale blisko Kostrzyna jest bardzo ładne miasteczko, prawie niezniszczone przez działania wojenne, w którym jest bardzo dużo zieleni, a mieszkańców ciągle jeszcze bardzo mało. Zdecydowaliśmy się tu przyjechać. I tak osiemnaście rodzin z Wołynia zamieszkało w Słońsku. Było to 15 lipca 1945 roku.



■ **Czy pamiętasz, przy jakiej ulicy zamieszkaliście?
A może od początku mieszkaliście przy Puszkina?**

Początkowo wszyscy Wołyniacy mieszkali na ulicy Krzywej, dzisiaj to nasza ulica Puszkina. Jednak w późniejszym czasie zmieniali mieszkania, być może na lepsze. Nasza rodzina jednak została na ulicy Krzywej. Ojciec bardzo długo uważał, że nasz pobyt w Słońsku jest tymczasowy, że wkrótce wrócimy do domu.

■ **Nie wróciliście...**

Nie. To w Słońsku zaczął się kolejny rozdział naszego życia. Tato zresztą postanowił zostać rolnikiem. W domu, w którym ty się urodziłeś, zastał mnóstwo sprzętu rolniczego: młocarnie, wialnie, śrutownik, silnik elektryczny i wiele innych. Uznał, że da sobie na roli radę, chociaż doświadczenia za dużo nie miał i nawet już w 1945 roku dostał propozycję pracy na kolei. Ale miał sprzęt rolniczy, była duża obora, stajnia, chlewnia, bardzo duża stodoła, sad, a za sadem czysta rzeczka. W domu były dwie przestronne piwnice. W mniejszej był piec do pieczenia chleba oraz wielki emaliowany sagan do podgrzewania wody. W tym ciężkim powojennym okresie były to rzeczy bardzo potrzebne do jako takiego funkcjonowania. Dziadek szybko dostał konia z UNRRY¹⁴ i dwie krowy. I tak z pracownika kolejowego został rolnikiem. Mawiał do mnie: „Nad swoim życiem trzeba pracować aż do śmierci, a kiedy

¹⁴United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA) – organizacja utworzona w USA, której celem było udzielanie pomocy na obszarach zniszczonych w wyniku drugiej wojny światowej.



Tego świata już nie ma

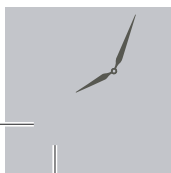
chcesz trafić do nieba, musisz, jak ten dobry rolnik, swój pług prowadzić prosto, nie za płytko, nie za głęboko”.



Dom przy ulicy Krzywej (dziś Puszkina)



Zabudowania gospodarcze – lata sześćdziesiąte XX wieku



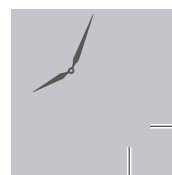
■ A Niemcy? Wielu ich było jeszcze w Słońsku?

W 1945 roku, w miarę zbliżania się frontu, ludność niemiecka masowo opuszczała te ziemie, udając się na Zachód. Po przejściu frontu miasteczko było prawie zupełnie wyludnione, a od maja 1945 roku zaczęli napływać pierwsi osadnicy. Było niewiele niemieckich jeńców wojennych i kilka rodzin niemieckich, takich jak rodzina doktora Eduarda Seidlera, który miał żonę polskiego pochodzenia, z domu nazywała się Worgicka.

Do pierwszych, najwcześniej osiedlonych w Słońsku należeli: Kwapińscy, Juszczykowie, Tytonie, Chomiki, Koty, Bańkowscy, Mikalscy, Józwiakowie, Pawlikowscy, rodzina Kurków, Zdunków, Szymańscy, Lipienie, Janke, Bajerscy, Węgrzynowie, Szczęśniakowie, Bortnowscy.

Ludzie z głębi Polski, zwłaszcza z województw poznańskiego i warszawskiego, oraz repatrianci ze Związku Radzieckiego zaczęli osiedlać się w Słońsku od 1945 roku. Już w maju Państwowy Urząd Repatriacyjny, czyli PUR kierował do Słońska pierwszych Polaków powracających z głębi Niemiec, a wysłanych tam na roboty bądź do obozów. Początkowo ludzie osiedlali się gdzie kto chciał, zabierali i przenosili rzeczy. Później jakoś to zostało ujęte w formy organizacyjne przez władze osiedleńcze.

I życie toczyło się dalej. 16 września 1945 roku to była szczególna data w historii Słońska, ponieważ w tym dniu urodziła się pierwsza polska rodowita mieszkanka naszej miejscowości. Była to Emilia Lipień. Jej rodzina przyjechała do Słońska z Berezy Kartuskiej pierwszym transportem. Poród odbył się w domu przy ulicy Krzywej. Między ówczesną garstką mieszkańców wiadomość ta rozeszła się bardzo szybko, a najstarsi mówili z radością: „Pierwsza dziewczynka – nie



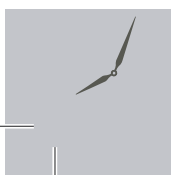
będzie nowej wojny”. To był bardzo ciężki czas dla wszystkich, a co dopiero dla matki i nowo urodzonego dziecka. Tyle że nie było problemu z lekarzem, bo wszystkim nowym osiedleńcom pomagał doktor Seidler. W aptekach poniemieckich było dużo różnych leków i Seidler korzystał z ich zasobów. Pomógł też małej Emilii.

A z rodziną Lipieniów, jak wiesz, byłam bardzo związana, ponieważ moją najbliższą przyjaciółką, do czasu jej wyjazdu do Sulęcina, była Zosia Lipień. Razem chodziłyśmy na zabawy, razem pomagałyśmy na plebanii. W 1947 roku Zosia wzięła ślub, a ksiądz Piękoś za to, że Zofia mu sprzątała, pozwolił, aby wesele było w plebanii. I ja tam oczywiście byłam zaproszona, i twoja ciotka Irenka.

■ Czy osiedlaniem ktoś w Słońsku zarządzał?

Pierwszym urzędem w Słońsku była Wojenna Komenda Wojsk Polskich, mieszcząca się w budynku administracyjnym byłego więzienia przy ulicy Poznańskiej, gdzie równocześnie znajdował się punkt repatriacyjny. Pierwszym komendantem tego urzędu był kapitan Leontowicz, pracował wraz z porucznikiem Staszlakiem, do tego był jeden oficer sanitarny i czterdziestu żołnierzy. Ich obowiązkiem było pilnowanie porządku w pasie przygranicznym oraz kontrolowanie ludzi powracających z niewoli i przymusowych robót. Oprócz Wojska Polskiego była także załoga radziecka. I to oni rządzą tak naprawdę wszystkim wokół nas.

I brali, co im się żywnie podobało. Kiedyś, a było to pod koniec lipca 1945 roku, przybiegł do domu Adam z Czesiem Lipieniem i opowiadali, że rosyjscy żołnierze przegonili przez

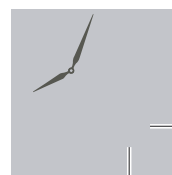


Słońsk ogromne stado krów i koni. Początek stada był już w Lubomierzycach, tak wtedy nazywano Lemierzyce, a koniec w Słońsku. Adam mówił, że nigdy w życiu nie widział tyle bydła, że pewnie ruscy je spod Berlina gonią. Za tym wszystkim jechały jeszcze bardzo powoli samochody wojskowe. Adam i Czesiek byli przekonani, że bydło pędzone jest do Rosji. Zastanawiali się tylko, ile sztuk tę podróż przeżyje i ile zwierząt utonęło w Odrze, bo przecież most pontonowy, zbudowany przez saperów, nie miał poręczy.

■ **Dużo słyszałem o radzieckiej zonie. Dziadek mówił, że tam sobie ruscy robili, co chcieli.**

Cały obszar wokół kościoła, włącznie z dzisiejszymi ulicami Poniatowskiego i Szopena, aż do joannickiego szpitala, był niedostępny dla Polaków. Ruscy ogrodzili kościół i zamek drutem kolczastym. Z kościoła wynieśli wszystkie ławki i tablice herbowe i zrobili tam magazyn żywności, trzymali tam też konie. Na emporach w kościele (wtedy jeszcze nad bocznymi nawami były takie „balkony” jak dzisiejszy chór) spali zwykli żołnierze radzieccy, a oficerowie na plebanii.

Ludzie opowiadali, że poniemiecki ratusz miejski, który był tuż przy kościele, tam gdzie dzisiaj jest ogródek maryjny, przetrwał wojnę w nienaruszonym stanie. Ale czołg radziecki podczas wykonywania zakrętu staranował narożnik ratusza i budynek się posypał. Wtedy Rosjanie wynieśli setki białej broni, którą złożyli pod pomnikiem, a meble z ratusza i dokumenty spalili. Szybko z ratusza została kupa gruzów. Na następny dzień po białej broni też już nie było śladu. Ale nie wiem, czy ta opowieść jest prawdziwa.

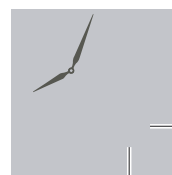




Ulica Sikorskiego, na wprost „Gumowiec”

Na dzisiejszej ulicy Sikorskiego w początkowych latach po wojnie funkcjonowała restauracja³⁷. Mieszkańcy Słomka wykorzystali oczywiście niemiecki sprzęt. Restauracja była bardzo duża. Pamiętam wielki bufet, miedziane nalewaki do piwa, regał na alkohol z ciemnego drewna, ogrodzony miedzianymi słupkami, na których wisiały miedziane łańcuchy. Sufit dużej bankietowej sali wspierał się na ośmiu miedzianych ośmiokątnych słupach. Pomimo wielkiej przestrzeni unosiły się tam kłęby papierosowego dymu. Ciekawostką było to, że w tym lokalu nie było żadnego okna, które można byłoby otworzyć. Frontowa ściana była cała przeszklona białym grubym szkłem, drzwi wejściowe również, a szkło zabezpieczała misternie kuta metalowa krata. Po likwidacji restauracji

³⁷ W tym miejscu znajduje się dziś sklep „Chata Polska”.



na jej miejscu powstał sklep żelazny, potem sklep z artykułami gospodarstwa domowego i sklep meblowy.

A później we wsi była knajpa nazywana „Gumowiec”. Oczywiście nosiła inną oficjalną nazwę, ale wszyscy ją tak nazywali, bo była miejscem, gdzie pędzili opić się alkoholem wszyscy miejscowi pijacy, w roboczych strojach: gumofilcach i kufajkach. Ale nie tylko. Początkowo była to restauracja słynąca z przygotowywanych przez panią Kasię Szewczyk pysznych śledzi i sałatki warzywnej w kształcie jajka. W „Gumowcu” można było spotkać i robotnika, i miejscowego inteligenta, pijących zgodnie piwo z kufelka lub seteczkę wódki. „Lepszą” restaurację, dzisiejszą „Słowiańską”, wybudowano później na miejscu przedwojennej gospody i kręgielni „Pod Żółtym Jeleniem”. Tuż po wojnie, w restauracji zrobiono biura, a w miejscu dawnej kręgielni utworzono punkt skupu żywca.



Ulica 3 Lutego, w głębi po lewej stronie rozlewnia oranżady i budka z piwem



Był tam duży plac, na którym do drewnianych pali przywiązywano zważone uprzednio krowy. W miejscu tym początkowo odbywały się pierwsze po wojnie targi, które jednak szybko przeniesiono na plac przed zamkiem. Tam odbywały się naprawdę duże targi. Rolnicy zjeżdżali się wozami konnymi, na których przywożono świnie, prosiaki, cielaki, kozy, wszelkiego rodzaju drób, króliki, ale także zboże, własnej roboty masło, twaróg. Jednak i stamtąd przeniesiono targowisko na ulicę Sikorskiego.

■ **Pamiętam, że można było kupić oranżadę wyrabianą u nas, w Słońsku.**

Tak. Na ulicy Poznańskiej³⁸ znajdowała się rozlewnia oranżady. Trzymano tam też beczki z piwem. W pobliżu był przystanek autobusowy. Największe wzięcie miała budka z piwem o piątej rano i w godzinach popołudniowych. Rano dwa autobusy zabierały bowiem z przystanku pracowników kolei i Kostrzyńskiej Fabryki Celulozy i Papieru. Trzeba więc było przed ciężką pracą naoliwić gardła, a po pracy – przepłukać. Przystanek autobusowy jest w tym miejscu dalej. Nie ma tylko budki z piwem i słynnej rozlewni oranżady.

A pamiętasz swoją pierwszą wizytę u fryzjera męskiego?

³⁸ Dziś ulica 3 Lutego.



■ **Tak. Pamiętam dobrze, bo szedłem wtedy do pierwszej klasy. Zaprowadziłaś mnie do prawdziwego fryzjera.**

Na rogu ulic Poznańskiej i 3 Maja znajdował się słynny w latach powojennych zakład fryzjerski – męski, prowadzony przez pana Zajdlera. Wejście było po schodkach, a salon posiadał jeszcze wyposażenie poniemieckie: fotel kręcony dla chłopców, oryginalny, obijany skórą fotel dla mężczyzn, komplety brzytw, nożyczek, duże, zakończone gumową gruszką szklane spryskiwacze, marmurki do ostrzenia brzytw, a do wygładzania ostrza brzytwy szeroki rzemienny pasek i wiele innych przyborów fryzjerskich. Wszystkie te przybory były własnością pana fryzjera.

Na rogu ulic Poznańskiej i Bieruta znajdowała się stolarnia, w której pracował pan Maciuk. Przy tej samej ulicy, trochę dalej, był Państwowy Ośrodek Maszynowy. Dziś jest tam „Zajazd Hubertus”.

■ **A pozostałe zakupy? Pamiętam, że zanim powstały duże sklepy w Słońsku, była taka fajna tradycja, że po wędliny nie szło się do mięsnego, tylko do Płócienniczaka, a po tekstylia do Bortnowskiej. Mimo że wszystkie sklepy były przecież „państwowe”.**

Pierwsza hurtownia, a właściwie magazyn z artykułami spożywczymi znajdował się tam, gdzie teraz jest bank. Wjazd był od ulicy Zielonej. Towar do magazynu wozili konnym wozem – platformą Jan Wałęcki. Zresztą wszystkie towary i ludzi wozono wozami konnymi, a jak ktoś miał rower, często poniemiecki, to pedałowal do Sulęcina, czyli do stolicy powiatu, żeby załatwić sprawy urzędowe.

